

W NRD-owskim więzieniu

Ze snu budzi mnie trzask odsuwane go w drzwiach rygła. Jest środek nocy, jak przypuszczam. Na ten dźwięk nie podskakuję już nerwowo na łóżku. Nie wzmacniam w ten sposób objawów niezdrowej radości sadystycznych klawiszy więziennych. Ten trick działał przez pierwszy tydzień lub dwa zaraz po uwięzieniu mnie w Pankow. Ich ulubioną zabawą było podejść cicho pod drzwi celi, uchylić bezszelestnie kłapkę judasza (z całą pewnością za drzwiami krył się Judasz) i z hukiem odsunąć jeden z rygli. Na widok podskakującego nerwowo więźnia klawisze onanizowali się mentalnie. Po upływie jakiegoś czasu przestałem podskakiwać i wytrzeszczać oczy w kierunku drzwi. Co więcej, potrafiłem wyczuć telepatycznie zbliżającego się pod drzwi mojej celi klawisza.

Zwykle do celi wchodziło ich dwóch. Trzeci czekał przed drzwiami.

– *Aufstehen! Kommen Sie mit!* – pada krótka komenda.

Po chwili idziemy słabo oświetlonymi korytarzami. Jeden z nich zawsze przede mną, jeden za mną, a ten trzeci po mojej prawej stronie. Zgodnie z regulaminem (*Hausordnung*) muszę sunąć lewym ramieniem po ścianie korytarza. Na końcu każdego z nich świeci się czerwona żarówka. To sygnał, że korytarzem prowadzony jest więzień. Żaden więzień nie ma prawa widzieć innego więźnia, chyba że wprowadzają mu do celi towarzysza niedoli, który przeważnie jest lub zamieniony zostanie nazajutrz

na kapusia. Gdy więc prowadzony więzień zbliża się do końca korytarza, na komendę *Halt!* powinien stanąć w miejscu, wykonać w lewo zwrot, stanąć twarzą do ściany, a w tym czasie jeden z klawiszy gasi czerwoną żarówkę na korytarzu, którym przeszli i zaświeca następną w korytarzu, w który teraz skręca. W wypadku gdyby z przeciwnika prowadzono innego więźnia, jednego z nich zamknięto by na czas przejścia tego drugiego w jednej z cel.

Schodzimy piętro niżej. Wszystko zawsze odbywa się w milczeniu. Nikt z nich nie odważyłby się zamienić ze mną słowa. Jestem przecież *Neokrimi*, w dodatku z zagranicy, z IZRAELA! Nikt z nich nie ma tu zaufania do kolegi po fachu. Rozmowa ze mną może od razu być interpretowana jako kontakt z „wrogim socjalizmowi elementem”. Otwierają drzwi jakiejś celi. Wchodzę, a oni bez słowa zatrzasniają skoble za moimi plecami i głośno przekręcają klucz w zamku. Jest środek nocy. Tak to odczuwam. Na ścianie wisi nie opuszczony *Klappbett*, czyli skrzynka, w której śpi się w nocy, a którą trzeba o świcie podnieść i zatrzasnąć ku ścianie. „Tu za dnia się nie leży. Tu za dnia należy rozmyślać o niecnych czynach popełnionych przeciwko DDR” – pouczono mnie. Lecz ja zastanawiam się, jak to możliwe, że po przegranej wojnie może dojść do takiej mutacji, jaką jest twór zwany DDR. To całkiem inne stadium *d e m o k r a c j i* niż w innych krajach, opowiadających się za prawdziwą (a jakże) demokracją. To chyba Winston Churchill powiedział, że „z wszelkiego koniecznego zła, demokracja jest złem najlepszym”. Śmiem wątpić, Sir.

Po zewnętrznej stronie dna zatrzaśniętej do ściany trumny (jak nazywam owo łóżko) powinna znajdować się mała deseczka na zawiasie – tak zwane krzesło. Przeważnie jednak „krzesła” te,

podobne do kłapek na korytarzach pociągów dalekobieżnych, są usunięte. Siadam więc na podłodze – czynność przewidziana przez *Hausordnung* jako zakazana. Nikt niczego mi nie wyjaśnia, a ja nauczyłem się nie czekać na nic. Jak długo tu siedzę zamknięty, tak długo jestem w państwie-więzieniu. Tylko spokój. Zachować spokój. Żadnych zbędnych napięć. Nie uda im się wykończyć mnie nerwowo tak jak innych, jak tych, którzy miotają się jak zwierzęta po ciasnych celach, szukają nieistniejących klamek przy drzwiach, a w końcu wyją lub płaczą z niemocy jak dzieci. O nie! Takim mnie nie widzieli przez te ostatnie 18 miesięcy i nie zobaczą! Staję na rękach pod ścianą. Nie wiem, skąd się wziął u mnie ten odruch. Nigdy na wolności nie zajmowałem się ani sportem, ani jogą. To jakiś akt samoobrony wywodzący się z mojej podświadomości. Kilka razy dziennie robię pompki i staję pod ścianą na rękach z nogami w górę. Podczas jednego z pierwszych przesłuchań obiecali mi, że wyjdę stąd (o ile w ogóle!) „łysy i bezzębny”. To fakt, że włosy wypadają mi garściami, ale **wierzę**, że po wyjściu na wolność (na wolność?), na świeże powietrze, moje włosy odrosną. Trzymali mnie miesiącami w celi o zaśrubowanym oknie z blendą zasłaniającą niebo. Ich dentysta usunął mi plomby z zębów i tak już zostało do tej chwili. Nie wiem, po co mnie zbudzili, w jakim celu przeniesiono mnie tutaj, do tej n o w e j celi. Przeprowadzają jakiś eksperyment psychologiczny. Chcą zrobić ze mnie królika doświadczalnego. Nic z tego, chłopcy. Nie z Romanem Nactem te numery. Ja kiedyś stąd wyjdę, a wy? Wy tu zostaniecie w tym waszym państwie-więzieniu. Nadal jako dobrowolni więźniowie, mandżurscy więźniowie ochotnicy, potakiwacze.

Po kilku dniach znów budzą mnie w środku nocy. Znów ten pochód w milczeniu przez korytarze z czerwonymi żarówkami.

Znów inna cela na innym piętrze. W środku nocy trzaskają ryglami. Oślepiają światłem. Wprowadzają mnie do jakiejś celi. Zamykają drzwi. Po godzinie lub dwóch (jakie to ma znaczenie?) w drzwiach staje klawisz i z głupawym uśmiechem na ustach pokazuje mi wieszak, na którym rozpoznaję moje ciuchy. Marynarkę, koszulę, krawat... Udało im się. Ten widok *n o r m a l n e g o* stroju robi wrażenie po kilkunastu miesiącach chodzenia w zbyt obszernej flanelowej koszuli i w starym kolejarским mundurze, za dużym o trzy numery, tak że człowiek stale zajęty jest albo podciąganiem rękawów, albo podciąganiem spadających spodni. Wszystkie kieszenie są zaszyte, a i tak nie ma co w nie włożyć. To dla mojego bezpieczeństwa, oczywiście – wyjaśniono mi. Patrzę na moją elegancką marynarkę kupioną w „Anna’s” we Frankfurcie, moją białą (!) koszulę, krawat... I czuję, że chcę znowu tak wyglądać, tak się ubierać. Wyglądać jak *c z ł o w i e k*. Rozumiem! Oni starają się ograbić człowieka z poczucia człowieczeństwa, żeby czuł się stale obserwowany przez *Guckloch*, miotającym się po klatce zwierzęciem. Rozpoznaję moje rzeczy i... klawisz wychodzi.

I znowu mija kilka dni.

Noc. Trzask odsuwanego rygla. Światło w oczy. „*Kommen Sie mit!*”. Pochód korytarzami. Eskorta. Czerwone żarówki. Krętymi schodami sprowadzają mnie w dół. Wprowadzają mnie do jakiejś celi. Po dwóch godzinach prowadzą do innej. Tu zakładają mi kajdanki i bez słowa wychodzą. Domyślam się, że znowu mnie gdzieś będą wieźli. Dokąd? A co to za różnica? Jak długo nie opuszczam granic tego państwa-więzienia, tak długo nie może zależeć mi na adresie. Powinno mi to być i jest w rzeczy samej obojętne. Mam ich w dupie wraz z ich psychologią. Wchodzą do celi i ściągają mi kajdanki. Wychodzą, aby wrócić w nocy. Budzą mnie ze snu. Kajdanki. Wychodzą. Po jakimś czasie wracają.

Zdejmują mi kajdanki i każą rozebrać się do naga. Widzę, jak kątem oka każdy z nich ogląda mi „końcówkę”. Nawet tu jestem inny. Zawsze byłem inny. Nawet pośród tych, których też obrzezano bez uprzedniego zapytania o zgodę. Tych, którzy teraz łypią na mojego obrzezanego ptaka, opryskano kiedyś wodą. Mnie wmówiono, że jestem żydem, a im że są katolikami. Ale te hipnotyczne sugestie nas nie różnią. Ludzi różnią sposób odczuwania i sposób myślenia. Nie religie, nie kolor skóry, lecz stan świadomości. Tu, w tej celi nie wiem jeszcze, co to jest wyrozumiałość. Ich bezczelne i głupawe twarze działają na mnie jak czerwona płachta na byka. Czuję gniew i wierzę, że mój gniew jest s ł u s z n y. A to ogromny błąd w myśleniu.

Po raz pierwszy od kilkunastu miesięcy znów jestem ubrany we własne ciuchy. Znów w y g l ą d a m j a k c z ł o w i e k. Mijają dwa dni. Pewnej nocy budzą mnie i sprowadzają korytarzem w dół. Na końcu korytarza mocny reflektor świeci prosto w oczy. Wyprowadzony z ciemnego pomieszczenia nic nie widzę. Zakładają mi kajdanki. „Weiter! Loß!”. Ktoś popycha mnie w kierunku stojącej na zewnątrz brudnozielonej nysy. Udaje mi się odczytać na niej napis: OBST und GEMÜSE. A więc będę przetransportowany jako warzywo? Jako owoc? Wierzcie mi. Życie przemawia do nas symbolami. Wszystko jest w gruncie rzeczy symbolem. Każdy z nas jest symbolem. Wówczas nie byłem tego faktu świadom. Stanowcza większość zostawała tu w tych kazamatach transformowana, przemieniana w warzywa, mentalnie, psychicznie więdnące warzywa. Ja stałem się dzięki tym przeżyciom dojrzałym owocem, ale jak powiedziałem, nie byłem jeszcze tego świadom. Moja świadomość była jeszcze zamroczona niskimi frekwencjami gniewu, złości, bezsilności, pojęciem racji. Nie wiedziałem jeszcze, że to właśnie bezsilność stanowi pierwszy

stopień do wejścia w siebie. Do wyjścia ze świata materialnej iluzji i ogłupienia. Do wypowiedzenia magicznej formuły: „Nie moja wola, lecz Twoja wola niech się stanie” i nastawienia swojej anteny do wewnątrz.

Wnętrze furgonetki podzielone jest na maleńkie, ciasne komóreczki. Wepchnięto mnie tyłem do jednej z nich i zatrzaśnięto za mną drzwiczki. Po chwili słyszę, że wprowadzają następnego więźnia.

– Jest tu ktoś? – słyszę szept.

W odpowiedzi stukam cicho w przepierzenie przede mną. Siedzę w absolutnej ciemności.

– Myślę, że zabierają nas do Karl-Marx-Stadt – dochodzi do mnie szept.

– *Schnautze halten!* – słyszymy głos z wnętrza furgonetki.

To jeden z kławiszcy. Milczymy. Słyszę, że wprowadzają jeszcze dwóch więźniów. Ruszamy. Nie wiem, dokąd nas wiozą. Nie wiem, gdzie leży Karl-Marx-Stadt. Kiedyś przewieźli mnie do więzienia w Pankow, potem do Schönhof, następnie do Lichtenbergu. Potem na powrót do Pankow. Kto to wie na sto procent? Jakoś dotarły do mnie te nazwy. Ponoć jestem tu, ponoć jestem tam, ponoć wiozą nas teraz do jakiegoś Karl-Marx-Stadt. Ktoś szepcze w ciemności:

– Chyba ogłosili amnestię.

– *Rube! Maul halten!* – szczeka głos wiozącego nas strażnika.

Mam gdzieś ich amnestię! Niech mi nie robią łaski. Dożywotnio nie będą mnie tutaj trzymali. A jak wyjdę... Mam już plan. Przeprowadzę się do Berlina. Kupię sobie broń. Z lunetką oczywiście. Ten bandycki system nie ma prawa istnieć. Nareszcie mam życiowy cel. Całe moje życie poświęcę na niszczenie tego systemu. To trzeba sprzątnąć, zmieść z powierzchni Ziemi. **To** stanowi

moją misję na Ziemi. **TO** jest celem mojego życia. Za t o jestem gotów oddać życie. Będę strzelać do tych oprawców jak do kaczek. Kaczki są niewinne. Winny jest człowiek, który je zabija, żeby zjeść „coś smacznego” w swoim mniemaniu... Ale ta banda złoczyńców trzymająca w tyłu więzieniach tyłu nieszczęśliwych ludzi, zabierająca dzieci rodzicom... Toż to wczorajsi hitlerowcy! To ta sama faszystowska mentalność. Metody wyuczone na kursach KGB plus niemiecki *Ordnung*, ta niemiecka precyzja – tu w służbie zła. Będę strzelać do nich z dachów domów w sektorze amerykańskim. Alianci powinni mi jeszcze podziękować za taką dobrą robotę. Należy oczyścić ten świat z wszelkiej maści zwyrodnialców. Istota sprowadzająca cierpienie na inne bratnie istoty, przekształcająca swoje zboczone, chore postępowanie w obowiązujący system, istota powodująca cierpienie dzieci nie ma prawa istnieć i powinna zostać pozbawiona prawa do nazywania się istotą ludzką. Oto co czułem wówczas w sobie. Tak właśnie pojmowałem sprawiedliwość. Oczami wyobraźni widziałem siebie na dachu wieżowca w zachodniej części Berlina. Z bramy więzienia np. w Pankow wychodzą klawisze po pracy. Są pewni siebie. Są zadowoleni. Ustawili się. Żyją dzięki nieszczęściu innych. Ulegają systemowi. Podtrzymują go. Żerują dzięki niemu. Nie baczą na to, że setkom dzieci zabrano rodziców, że trzyma się w celach nawet ciężarne kobiety, że aby niektóre z nich zmusić do zakapowania męża czy brata, nie pozwala im się nawet podmyć raz na kilka dni. A ci klawisze cieszą się, bo mogą nabyć rower, pralkę, zegarek „Ruhla”, mieszkanko bliżej centrum miasta... Za jaką cenę, wy zwyrodnialcy?! Nie macie prawa chodzić po tej Ziemi w ludzkich ciałach! Biorę sobie jednego z nich na cel. Znam go. Poznając tę gębę. To ten, który zawsze przetrzymuje aluminiową miskę z lurą zwaną zupą na korytarzu, aż zupa ostygnie, albo przez otwór w drzwiach podaje ją w taki sposób więź-

niowi, żeby ten oblał sobie dłonie wrzącą zupą, albo żeby mu się wylała na podłogę. Cieszy go to za każdym razem i bawi niezmiernie, brandzluje się w swoim śmierdzącym wnętrzu niemocą, bezsilnością więzionych ludzi. Muszą jeść tę zimną lurę z zastygłym na niej tłuszczem albo tę kaszę gryczaną zgrzytającą między zębami, zmieszaną z krwią zwierzęcą. Moja suczka Gina żre z lepszej miski we Frankfurcie, niż ja w ich NRD-owskim *ansztalcie*. Patrę na jego gębę z tym głupawym uśmiechem na ustach. Jego ojciec, jego dziadek z całą pewnością byli hitlerowcami. Co już może odziedziczyć taki pomiot? To pytanie nie budzi we mnie jednak miłosierdzia dla jakkolwiek by było mojego kosmicznego brata. Kładę na nim krzyżyk, i to nie w przenośni. Na jego uśmiechniętej mordzie widzę krzyżyk, który podnoszę na wysokość jego płaskiego czoła. Jestem panem życia i śmierci. Oto oczyszczam tę planetę ze ZŁA. Jednego zwyrodnialca mniej. Ostatnia refleksja: a może on jest już ojcem dziecka? Takim ludziom nie wolno się rozmnażać. To tak, jakby pozwolić świadomie na rozprzestrzenianie się radiacji zła, chorobotwórczych bakterii lub śmiertcionośnych wirusów. O tak! Ich geny to niszczyciele cywilizacji. Ileż to ludzi przez nich ucierpiało i nadal cierpi? Ile dzieci? Ile osób popełniło przez ich niewiarygodną nieczułość samobójstwo? *Raus!* Pociągam za spust. Dzięki Bogu! Padł. O jednego potwora mniej...

Wiem, c o czują w swoich sercach terroryści, „gwałtownicy” jak nazywał ich prorok Daniel.

Podróż w ciemności trwa. Po dość długim czasie gdzieś się zatrzymujemy. Z zewnątrz dochodzą do mnie odgłosy rozmowy. Rozróżniam akcent. Mówią jakoś inaczej niż we Frankfurcie. – *Verdammt Sachsen!* – klnie cicho jeden z więźniów. „Ci przekłęci Sakszończycy!” – *Abschaum der Menschheit*. Szumowiny ludzkości. – *Rube!* – krzyczy jeden z wiozących nas strażników, który

widocznie stał przy drzwiach. Nie wolno nam komunikować się pomiędzy sobą. Komunikacji międzyludzkiej obawia się każda dyktatura, każdy tyran. To jej słaby punkt. Bo komunikacja to jedno z podstawowych praw Kosmosu, w którym żyjemy.

Ruszamy najwyraźniej w dalszą drogę. Chyba zjechaliśmy do jakiegoś miasta. Samochód skręca w lewo. Jedzie prosto. Stajemy. Znowu ruszamy. Prosto. Znowu zakręt w lewo. Teraz w prawo. – *Mensch! Kann man verrückt werden* – nie wytrzymuje nagle jeden z wiezionych więźniów. I tak długo wytrzymał. – *Rube da! Klappe halten!* – jak zaprogramowany robot reaguje strażnik. Więźniowi jednak puszczaają nerwy. Wrzeszczy. Krzyczy. Wali w drzwiczki swojej ciasnej komóreczki, w której został zamknięty na czas podróży. – *Ich will heraus! Ich will heraus!* – Śmiechy strażników, najwyraźniej przyzwyczajonych do takich scen, potwierdzają moją teorię. To wampiry karmiące się emanacjami ludzkiego nieszczęścia, ludzkiej bezsilności, strachu, nienawiści żywionej do nich przez ich ofiary, rozbudzonej chęci mordy i odrazy. Niech się tymi ludzkimi miazmatami przepelnia, skoro tak nisko upadli, skoro z ludzi przemienili się w sępy szarpiące padlinę. Im więcej wysysają tej energii z ludzi, tym więcej miejsca powstanie w wyspanych na nową energię, na nowego ducha. Ta banda prowokuje **odrodzenie duchowe**, objawienie się Zbawiciela poprzez ludzkie ciała wyspanych, wypycha na wyższy poziom egzystencji, wypycha w cięższy stan skupienia w *heaven*, do nieba, na z góry upatrzoną pozycję. Z góry... **Warto** więc wycofać się w „miejsce” (stan świadomości), z którego obsunęliśmy się w stan człowieczeństwa, **warto** nastawić drugi policzek, **warto** nie stawiać oporu złemu, **warto** czynić dobro tym, którzy nam zawinili, **warto** kroczyć wąską ścieżką. Ale jak trudno zarazem przetworzyć w sobie „słuszny” gniew, tak naturalną reakcją na czynioną przez nich

jawną niesprawiedliwość, w zrozumienie ich psychicznego stanu, w wybaczenie im zбочonych tendencji, ich żądzy władzy. Nierząd, który czynią na Ziemi od zarania, począwszy od zmian dokonywanych w sile promieniowania atomów materii aż po dzień dzisiejszy zamienił ten świat w kosmiczny, galaktyczny enerdówek, odseparowany murem od reszty Wszechświata. Ukradli energię, dusze ludzkie i żywią się złudną nadzieją, że uda im się przetrwać. Co gorsza, grożą zniszczeniem planety, jeśli ktoś odważy się na próbę odebrania im władzy. Śmiertelny wirus zagrażający życiu słonia. Ale światło wniknie niepostrzeżenie w wirusa i przemieni go od wewnątrz. I zniknie mur i zostaną zaabsorbowani przez otoczenie, z jakim będą nadal przemieniani zgodnie z kosmicznym prawem stałej przemiany. I nadejdzie koniec tej psychicznej *bestiofilii*. I kiedyś zrozumieją, dlaczego pozbawiono ich wolnej woli, ubezwłasnowolniono i będą za to wdzięczni.

Wczoraj po tylu miesiącach czekania zabrano mnie do denty-
sty. Ten usunął mi kilka plomb z zębów i z uśmiechem na ustach poinformował mnie, że to wszystko, co może dla mnie zrobić. Odbierałem od niego wibrację jego zбочenia. Spytał mnie, czy jestem zadowolony z jego usług. Onanizował się publicznie w swym sadyzmie. Nasycił się bezradnością więzionych tu ludzi. Ale nadejdzie dzień, że takim jak on usunięte zostaną wbrew ich woli nie tylko plomby, ale i ich zęby. *First we'll take Manhattan, then we'll take Berlin.*

Po kilku zakrętach w lewo i w prawo samochód zatrzymuje się. Jedziemy na wstecznym. Zatrzymujemy się. Ruszamy. Zakręt w prawo. Słysząc saksońskie szwargotanie i najprawdopodobniej przejeżdżamy przez jakąś bramę. Samochód znowu zatrzymuje

się. Znowu dobiega z zewnątrz ich szwargotanie. Więzień miotający się i ochrypliły z wrzasku już chyba oszalał. Klawiszy ten **człowiek** nie interesuje. To jeszcze jeden *Arschloch*. Oni żyją z tego, za to im płacą. Wożą z miejsca na miejsce jakieś postacie. Nawet nie zastanawiają się nad tym, co czynią. Jak oni mogli podporządkować się systemowi, to inni też mogli. Nie chcieli. To ich sprawa. Cierpią? *Pech gehabt!* Samochód rusza z miejsca. Zakręt w lewo. Teraz w prawo. Cofa. Ktoś otwiera drzwiczki mojej komóreczki. Blask słońca (po tyłu miesiącach w celi) oślepia mnie. – *Raus! Schneller!* – Takie same okrzyki słyszała zapewne moja matka nie raz podczas okupacji. Ten sam język. Ta sama mentalność. Potykam się wychodząc. Dwóch wartowników popycha mnie ku wejściu do budynku. Ochrypliły wrzask szalejącego w napadzie klaustrofobii więźnia zamienia się w zwierzęcy ryk, w wycie, które tak często w tym kraju słyszałem. (A więc człowiek to gatunek zwierzęca?!)

Zamykają mnie w celi. Trzask rygła za plecami nie wywiera już na mnie żadnego wrażenia. Cella z zaśrubowanym okienkiem i blendą przesłaniającą światło słoneczne, grube drzwi ryglowane z głośnym trzaskiem od zewnątrz, mroczne korytarze oświetlone czerwonymi żarówkami, gdy prowadzi się nimi więźnia, grube mury więzienia i druty kolczaste na nich, uzbrojeni wartownicy nad głowami, państwo otoczone murem i ta cała reszta, jaka należy do tej smutnej scenerii ze statystami włącznie, to po prostu iluzja. Namacalna, materialna, robiąca mocne wrażenie, jednak iluzja. Nie boję się już nikogo ani niczego. To oni boją się takich jak ja. Oni nie zamknęli mnie za kratami, nie byli w stanie pozbawić mnie wolności, jaką niosę w sobie, lecz ze strachu odgradzili się ode mnie kratami i murem, bo wiedzą, pomimo wszystko wiedzą, że czynią zło. Są w całym tego słowa znaczeniu złoczyń-

cami. W odróżnieniu od darczyńców i dobroczyńców. Zaś zło zgodnie ze swoją naturą niszczy się samo.

Znów budzą mnie w środku nocy. Znów prowadzą mnie korytarzami do innej celi, na inne piętro. Tym razem każą mi znów rozebrać się do naga. Znów naciągam na siebie zbyt duży mundur kolejarski z wszytą na plecach podłużną, żółtą łatą. Czuję jednak, że mój pobyt tu dobiega końca. Po kilku dniach wprowadzają do mojej celi nowego więźnia. Herman, syn adwokata z Berlina, student prawa. Odsiedział już dwa lata. Za co? To klasyka, a zarazem banał. *Beihilfe zur Republikflucht*. Pomoc w ucieczce obywatelce rajy Honeckera (przyjaciela chilijskiego faszysty, generała Pinocheta – przy czym obaj panowie byli tajnymi agentami CIA, a przynajmniej w to wierzyli). Jak w wypadku dziesiątek tysięcy innych spraw. Ktoś z Zachodu wjeżdża na stronę wschodnią. Tu poznaje kogoś, na kim po kilku udanych stosunkach płciowych zaczyna mu zależeć. Wraca więc coraz częściej do obiektu swego pożądanego. Po burzliwych dniach i nocach wracającego na zachodnią stronę kochanka odprowadza zrozpaczona, zdesperowana druga połowa tego poletka szczęścia. W końcu partner z Zachodu proponuje lub daje się namówić (co później i tak nie będzie miało większego znaczenia podczas pozornego śledztwa) na pomoc w ucieczce *Ostlingowi* do zachodniego rajy, który znajduje się po drugiej stronie muru, zasieków, drutów kolczastych, instalacji-samostrzałów i snajperów na wieżyczkach, o psach i szczujących je na ludzi zwyrodnialcach nie wspominając. Oczywiście cały plan jest trzymany do ostatniej chwili w tajemnicy... jednak z własną matką albo z ojcem, bratem lub najbliższą przyjaciółką trzeba się pożegnać. Do nich ma się przecież bezgraniczne zaufanie. Przecież nie można tak po prostu zniknąć. „Kto wie, kiedy zobaczymy się znowu? Jesteśmy przecież

tylko ludźmi”. Samochód staje na granicy. Kierowca oddaje papiery do kontroli. Wtedy każą mu zjechać na bok, wyjść z samochodu i otworzyć bagażnik. Kierowcy robi się gorąco. Zależnie od możliwości finansowych i sposobu myślenia stara się jakoś dyplomatycznie uniknąć powstającej, groźnej w skutkach sytuacji. Nic z tego.

Psy są po prostu psami. Zwierzęcy instynkt zmusza je do zasłużenia sobie na kość. Gdy wytresowany pies rzuca się na człowieka i obezwładnia go, to nie ma w nim winy. Tak go wytresował człowiek, stojąca wyżej pod względem intelektualnym istota i jeśli mielibyśmy z jakiejś przyczyny kogoś obwiniać za szkody powstałe w postaci pogryzienia, to winić nie będziemy zwierzęcia, lecz rozumnego człowieka za nierozumne używanie posiadanego rozumu.

Tacy właśnie rozumni ludzie „pilnowali” granic Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Ludzie, którzy nie domyślali się nawet, że człowiek powinien poskromić zwierzę w sobie, jeśli chce w końcu odczuć respekt dla samego siebie. Czuli jako naczelni, że wyrządzają niesamowitą krzywdę innym ludziom, ale wybierali zwierzęcy instynkt zamiast ludzkiej szlachetności. Każdy z nich widząc panikę w oczach bliźniego **wiedział, zdawał sobie sprawę** z tego, że w tej chwili wyłącznie od niego zależą dalsze losy co najmniej dwóch osób (często bardzo młodych). Nic go to nie obchodzi. Nic nie jest w stanie go wzruszyć. Zresztą dlaczego miałby pomóc komuś w ucieczce z kraju, w którym sam decyduje się zostać? Dziś, po latach staje taki szubrawiec przed kamerą telewizyjną w zjednoczonych Niemczech i jako wolny, szczęśliwy obywatel Unii Europejskiej tłumaczy, jak każdy zbrodniarz wojenny, że wykonywał t y l k o rozkazy tych z góry. To ci, którzy mu

je wydawali, są winni. To ich ukarście. To oni są odpowiedzialni. To oni zrobili z nas zwyrodnialców. Odpowiedzialność niech spadnie na nich. Ja tylko u c z c i w i e pracowałem, chciałem utrzymać rodzinę na rachunek dręczonych bliźnich. To przecież n o r m a l n e w naszym świecie.

Z otwartego bagażnika wyciągają śmiertelnie przerażonego człowieka. Jeśli nie od razu, to już podczas pierwszego przesłuchania pasażer lub pasażerka bagażnika „zeznaje”, że „uległa długim namowom”. Obiecano jej/jemu, że za „złożenie zeznań zgodnych z prawdą” kara poniesiona za tak potworne przestępstwo, jakim jest nielegalna próba opuszczenia kraju, będzie „łagodna”, „a może sąd w ogóle odstąpi od wydania wyroku ze względu na... bla, bla, bla”. Scenariusz podobny do tego z „1984” Orwella, z tym że nikomu nie przystawiają do twarzy klatki z głodnym szczurem, który w chwilę później wgrzyzie się wściekły w twarz ofiary. Szczura faktycznie brak, ale wizja klatki materializuje się na oczach zastraszonego, małego człowieczka, który chciał, żeby mu się materialnie lepiej wiodło. Sędziowie szastają latami, jakby to były dni albo godziny, a nie życie ludzkie. „Dwa lata, trzy lata, pięć lat, osiem lat”. Zeznania wczorajszych kochanków starających się kosztem pograżenia bliźniego uniknąć kary (kary za co?!) nie mają tak naprawdę wpływu na wyroki sądowe, bowiem i tak ludzie ci – winni czy niewinni – zostaną sprzedani po pewnym czasie na Zachód. Ile odsiedzą? To łut szczęścia. Może trzy lata i dwa miesiące... Może... Lista nazwisk jest długa. Jedyny upoważniony do przeprowadzania tej subtelnej transakcji to słynny adwokat, doktor Wolfgang Vogel. Bez jego wiedzy wyjazd na Zachód jest utopią. On dba o listę nazwisk i może czynić cuda. Nawet taki cud, który przewidywał Jezus z Nazaretu: ostatni na liście mogli czasem stać się pierwszymi.

Gawędząc więc z Hermanem i analizując podłą mentalność, fałszywą lojalność, sadystyczne skłonności, bezmózgowie i inne tego rodzaju ciężkie przywary człowieczeństwa, doszliśmy obaj do tej samej konkluzji, że najgorszymi z najgorszych, nieludzkich wręcz służalców systemu w tym kraju są jednak ci, którzy zabierają rodzicom wyjęte na granicy z bagażników, uśpione na czas podróży niemowlęta.

– Czy możesz sobie wyobrazić taką scenę, Roman? – Herman wczuwał się w rolę urzędnika na granicy. – Podchodzisz do samochodu i każesz otworzyć bladej ze strachu matce bagażnik samochodu. Dziecko chyba przebudziło się, gdyż z bagażnika dochodzi do ciebie stłumiony płacz niemowlęcia. Przerazona kobieta patrzy ci błagalnie w oczy. Ma nadzieję, że jesteś człowiekiem, że też masz dziecko, albo kiedyś będziesz mieć. Zresztą co za różnica. Możesz zsalutować, oddać jej papiery i przepuścić. Niech jedzie ze swoim niemowlęciem. Niech jak najprędzej wydobędzie je z tego bagażnika, z tych spalin. NIE! Ciebie gównem obchodzi los tego bękarta. Kobieta szepcze, błaga, skomli: „Pozwól mi odjechać...! to maleństwo...! zlituj się... dam ci wszystko, co przy sobie mam! BOŻE!”. Nic z tego! Ty chcesz się wykazać. Chcesz być aktywistą. Zbierasz punkty. Podkreślasz swoją lojalność. Chcesz, żeby napisano o tobie w gazetce ściennej. Zakładasz często mdlejącej właśnie, nie wytrzymującej już dłużej napięcia nerwowego matce kajdanki na ręce, a niemowlę – zgodnie z rutynową procedurą – każesz przekazać gdzie należy. Wykonujesz tylko swoją pracę i starasz się ją wykonywać tak dobrze, na ile potrafisz. Nadgorliwość też może się opłacać.

Wspaniały chłopak ten Herman. Czuje życie tak, jak ja. Przeważnie niemowlęta nie wracały już do swoich rodziców. Były adoptowane przez „czerwone rodziny” i programowane na lojal-

nych obywateli „republiki”. Powiedzmy, że ojciec dostał pięć, sześć lat więzienia i po kilku latach sprzedano go i wywieziono na Zachód. Matkę też skazano na parę lat... Dziecko wrogów systemu nie może zostać tak po prostu oddane wrogo nastawionym, zięjącym teraz zemstą i nienawiścią do rządu rodzicom. To *Staatsfeinde*. Takich ludzi najlepiej poróżnić, skłócić i odseparować od siebie. Ich dziecko wychowane zostanie w „zdrowej, poprawnie myślącej i postrzegającej rzeczywistość rodzinie”. Wychowane znaczy indoktrynowane. Ich dziecko wyrośnie na członka partii i być może znajdzie dla siebie miejsce w STASI albo w elitarnych (ta uzbrojona banda to elita) jednostkach pogranicza. Może przyczyni się do rozpaczy setek, a może tysiący ludzi? Może będzie w ramach wykonywanych czynności wyciągać z bagażników niemowlęta i małe dzieci, a ich rodziców wysyłać na lata odsiadki w więzieniach? Może zostanie zwerbowany przez CIA lub zachodniemieckie służby wywiadowcze i stanie się podwójnym agentem. I będzie jadać w najlepszych restauracjach, sypiać w najdroższych hotelach, jeździć dobrymi samochodami, posuwać eleganckie dziwki, budować sobie willę z basenem, wysyłać żonę z dziećmi do Travemünde i innych drogich kurortów, a jak zmieni się ustrój, co chyba nie tak szybko nastąpi (tak myśleli w one dni), to się zobaczy, jak i gdzie będzie można znowu się ustawić. W każdym razie zawsze i wszędzie na usługach władzy. Ma się ten życiowy spryt. Śmierć frajerom!

Za nieposłuszeństwo polegające na moim ignorowaniu przepisów zawartych w *Hausordnungu*, dotyczących zakazu leżenia na podłodze podczas dnia, zamknięto mnie znowu w piwnicy na trzy dni bez dostępu do toalety. W ramach samoobrony przed zezwierzeczeniem przez trzy dni nie piłem i zjadłem coś niecoś dla niepoznaki, gdyż nie chciałem umilić im czasu skuwaniem mnie

w kajdanki, usypianiem i karmieniem dożylnym. W ten sposób demonstrowano absolutną kontrolę i władzę nawet nad ciałem i funkcjami ciała uwięzionego.

– U nas będziesz nawet oddychać, kiedy my zechcemy – wytłumaczono mi już na wstępie. – Stawianie oporu lub twoje protesty nie mają dla nas żadnego znaczenia. – W tym wypadku mówili prawdę.

Gdy wróciłem, okazało się, że mam „nowego” w celi. Berndt z Hamburga. Miał chyba 21 lat i był ponownie wcielonym faszystą. NRD z jej systemem władzy umacniała tylko jego ojca, starszego brata oraz jemu podobnych w przekonaniu, że Hitler miał absolutną rację, zwalczając radykalnie komunistów. *Am besten alle an die Wand!* „Najlepiej wszystkich pod ścianę”. Ktokolwiek na świecie tępił radykalnie komunistów, był zdaniem wychowanego w atmosferze niemieckiego nacjonalizmu Berndta, zbawcą ludzkości.

– W przeciwnym wypadku *die Roten*, „czerwoni” zamienią cały świat w DDR – argumentował. – A jak to wygląda, czujemy właśnie na własnej skórze.

Chciał zabrać ze sobą do Hamburga dziewczynę. Poznał ją w jakiejś knajpie w Berlinie Wschodnim. Pracowała jako kelnerka. Połączył ich dziki seks (zgodnie z jego relacją) i wspólna nienawiść do komunistów, do „czerwonych”.

– *Liebe Tod als Rot* – powtarzał często.

To Berndt opowiadał mi godzinami o spotkaniach młodych neonazistów w Hamburgu i Hanowerze, i o tym, że jego ojciec trzyma w szafie mundur z „lepszyc czasów” wraz z oficerkami, które co niedzielę są pucowane przez jego matkę i nakładane z czcią razem z mundurem, a ojciec paraduje przez kilka godzin po

mieszkań w tym stroju lub przyjmuje gości, którzy przynoszą ze sobą w walizczkach też wyprasowane mundury „z tamtych dni”. To Berndt już wtedy w celi poinformował mnie o fakcie, że – jak mawiano w tamtych kręgach – wojna się jeszcze nie skończyła, że *Großadmiral* Doenitz nie podpisał kapitulacji III Rzeszy (nie był nawet do takiego aktu uprawniony), a tylko kapitulację Wehrmachtu, że *Dritte Reich* istnieje tak, jak miliony *Reichsdeutschen* rozsianych w niemieckich koloniach po całym świecie. I że RFN to fikcja, a jej kanclerz nie może być uznany za niemieckiego *Führera*.

O dziwo po latach, gdy zajmowałem się rzekomymi kontaktami pewnych ugrupowań okultystycznych, lansujących niemiecki nacjonalizm, z pewną grupą kosmitów – oczywiście wysokich wzrostem blondynów o niebieskich oczach – pochodzących z gwiazdozbioru Aldebaran, dowiedziałem się, że faktycznie Sąd Najwyższy Republiki Federalnej Niemiec uznał III Rzeszę za formalnie nadal istniejącą, choć nie funkcjonujące państwo.

– *Ja, ja, lieber Roman, so is' es!* – przekonywał mnie Berndt, a ja oczywiście nie wierzyłem mu, gdyż w szkole uczono mnie inaczej. Poza tym podejrzewałem, że Berndt może być podsuniętym mi kapusiem.

Berndt przekonywał mnie, że Hitler z całą pewnością uciekł z Berlina i być może nadal żyje. W Berlinie spalono ciało jednego z sobowtórów *Führera*, ale Rosjanie i Amerykanie wiedzą, jak było naprawdę (jak wiele zależy od tego, kto wyklada nam historię!). Ze względu na wychowanie uznawał siebie za antysemitę, chociaż jak się okazało, byłem pierwszym Żydem, jakiego ten człowiek zobaczył na własne oczy. Przez kilka tygodni uznawał mnie za Polaka. Gdy powiedziałem mu, że jestem polskim

Żydem (cokolwiek to oznacza), początkowo nie chciał mi uwierzyć. Z opowiadań, jakimi za młodu skorupka nasiąkała, powinienem wyglądać co najmniej odpychająco, odstręczająco – inaczej.

Znów zamknięto mnie w karcerze. Znowu ośmieliłem się położyć na podłodze podczas dnia. Znowu krata pomiędzy mną a muszlą klozetową. Nie złamię mnie. Będę robić, co mi się podoba, na ile to będzie możliwe. Jestem gotów ponieść wszelkie tego konsekwencje. Czuję się wolny nawet tutaj. I nikt mnie nie pozbawi mojej wolności. Muszą mnie zabić. Gdyby mnie powiesili, gdyby mnie gazowali, gdyby mi dali śmiertelny zastrzyk, gdyby mnie topili, palili na stosie... Nic im nie pomoże. Nikt mnie nie złamię. Mnie nigdy nie usłyszą wyjącego w szaleństwie. Kładę się na zimnej piwnicznej podłodze, kiedy mi się podoba. Ignoruję ich napominania, groźby. To oni są mi coś winni, a nie ja im. Powinni się już połapać, że to, czego nauczono ich na kursach dręczenia bliźniego, na mnie nie działa. No cóż... *Pech gehabt!* Już chyba po raz piąty wchodzą w cztery do mojej klatki i stawiają mnie siłą na nogi. Cierpliwie tłumaczę, że mam teraz ochotę poleżeć i kładę się z powrotem. Jeden z nich, najwidoczniej podpity, uderza mnie kluczami w żebra. Drugi chwytą mnie za gardło i dławiąc przydusza do ściany. Jest wściekły. Rozumiem ich. Przyzwyczajali się do zaszczutych, zastraszonych, zapłakanych, uległych zasrańców. Wrzeszczy mi w twarz już nie wiem po raz który o tym, że *Hausordnung* zabrania leżenia podczas dnia. *Verstanden?!* Kładę się z powrotem na podłodze i wyjaśniam, że to ich *Hausordnung*, dla nich, nie dla mnie. Wracają z wiadrami pełnymi wody i wylewają ją na podłogę. Oblewają też mnie. Właśnie nauczyłem się nowego niemieckiego wyrazu: *krepiere*. *Du wirst krepiere hier!* Obiecują mi, że zdechnę. Mój mózg transmituje stary program: „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz!” –

zaczynam śpiewać, leżąc mokry na podłodze. Na ich tępych gębach widzę zdziwienie. Adrenalina rozsadza mnie, chociaż ważę (jak się potem okazało) niecałe 50 kilogramów. Nikt mnie nie złamie. Jestem wolny nawet za kratami. To nie oni mnie obserwują od półtora roku. To ja obserwuję ich. Tak naprawdę to oni znajdują się za kratami. Czuję się jak zwycięzca. Jestem niepokonany. Energia pulsuje we mnie ze wzmożoną siłą. Czuję się jak Giordano Bruno na stosie. Albo Savonarola. Jam zwyciężył ten świat.

To tu, w więzieniu, w NRD (jeszcze jeden poroniony przez ludzki umysł myślokształt, który już w chwili powstawania niósł w sobie własny kres) zrozumiałem, jak bardzo twórcy dyktatury, nieważne jakiego rodzaju, przywiązują się, koncentrują na swoich ofiarach. Stają się wartownikami systemu, który tak naprawdę stworzyli dla siebie samych. Wartownikami, którzy zamknęli się sami wraz ze swoimi więźniami w więzieniu, które sami sobie stworzyli, i z którego nie mogą teraz wyjść. Bo wyjście z tego więzienia, budowanego początkowo dla innych, oznacza natychmiastowe oddanie wolności uwięzionym. Zaś bez nich zginą. Najbardziej zaś boją się transformacji, przemiany. Są przecież pasożytami. A na pozbycie się pasożytów jest tylko jeden sposób: należy przestać je karmić, odciąć dopływ wsysanej przez nie energii w tej postaci, jakiej potrzebują do życia. Trzeba to uczynić nie dlatego, żeby je zabić. Kosmiczne prawo mówi, żeby nie zabijać, zaś wolność polega na podporządkowaniu się prawu, a nie na wykraczaniu ponad prawo. Trzeba to uczynić, żeby im pomóc w znalezieniu właściwego pokarmu, który mają w sobie samych. Gdy tylko nie dostaną energii z zewnątrz, gdy głód dokuczy i zmusi ich do myślenia, zaczną szukać pokarmu, aż w końcu znajdą go i przestaną być pasożytami. Można by też zacząć

z premedytacją karmić je nowym pokarmem i przyzwyczaić je jak bakterie do antybiotyków, zmuszając do mutacji, jednak naszym celem nie jest stanie się ich wartownikami, lecz wolność nasza i ich. „Za wolność naszą i waszą!”. Tylko tak zniknie bezpowrotnie obraz więzienia, w którym jesteście zamknięci. Pasożytom nie należy stawiać oporu. Trzeba tylko stać się dla nich nieprzydatnym, formą energii, która dla nich jest niestrawna, niesmaczna. W innym wypadku, gdy decydujemy się na karmienie pasożytów, na współpracę z nimi, sami wkrótce staniemy się pasożytami zgodnie z zasadą, że „z kim przestajesz, takim się stajesz”. Wyssaną z nas energię będziemy starali się uzupełnić wysysając ją z innych, którzy pozwolą nam z kolei na pasożytnictwo i tak staniemy się ogniwem w tym łańcuchu pokarmowym wampirów. Twórcy więzienia, jego wartownicy, którzy skuli tym właśnie łańcuchem więzione przez siebie istoty, tak bardzo zaabsorbowani są pilnowaniem i obserwowaniem zachowań uwięzionych, że popadli w hipnotyczny stan. Zapomnieli wprost o otaczającej ich rzeczywistości. Czują się jak kinoman ze wzrokiem wlepionym w poruszający się obraz na ekranie kina. Nie są świadomi tego, co dzieje się za ich plecami. Zaś za ich plecami pojawiły się jeszcze groźniejsze pasożyty niż on sami. Te mają jeszcze większy apetyt i zapotrzebowanie. Ale i one nie widzą, co dzieje się za ich plecami, tak bardzo są zajęte obiektem swojego zainteresowania, źródłem ulubionego przez nich pokarmu. Lecz cały ten łańcuch pokarmowy może być obserwowany i badany przez kogoś, kto nie wysysa energii z innych, bo ma dość swojej własnej. Ten – nazwijmy go Uczony – widzi przez swój mikroskop, jak długo jeszcze obserwowany przezeń łańcuch pokarmowy może się utrzymać. Widzi, że oddający nie nadążają już z akumulacją energii, bowiem wysysający ją łakną coraz więcej i pożerają już nawet swoje ofiary. Nie pozostaje mu nic innego, jak tylko zmienić im

środowisko. Do tej zmiany wszystkie pasożyty tworzące ów łańcuch pokarmowy będą zmuszone się ustosunkować. A to oznacza przemianę, transformację. Śsące chciwie energię z innych osobników pasożyty otrzymają taki zastrzyk energii, że odzwyczajają się stopniowo od pasożytniczego trybu życia. Przez pewien czas będą żywić się jeszcze odpadkami, ale w końcu odkryją w sobie samych źródło energii i z pasożytów staną się dawcami. Ale **najpierw trzeba zmienić im środowisko**, a to oznacza ograniczyć im pojęcie wolnej, nieprzymuszonej woli – nie dla władzy, lecz z miłości. Przecież ich przeznaczeniem nie jest być wymierającym gatunkiem pasożytów. To akt miłosierdzia. Taki łańcuch musi zostać zerwany. Ten system musi zostać obalony. *Pro publico bono*.

Przypominam sobie, że za odmówienie wykonania jakiegoś idiotycznego rozkazu, wydanego mi przez zakompleksionego sierżanta w areszcie wojskowym w Izraelu, też zamknięto mnie skutego w niesamowicie niskim karczerze i przykuto do kraty. Było to pomieszczenie tak niskie i ciasne, że trzeba było wchodzić doń tyłem i przykucając. O wstaniu na nogi i wyprostowaniu się nie było mowy. Wtedy też śpiewałem: „Jeszcze Polska zginęła...”. Polska była symbolem niezłomności. Oczywiście Polską byłem ja. Wszystko w życiu może być widziane jako symbol, bo życie składa się z samych symboli. Ja jestem symbolem, każdy z nas jest symbolem... Tylko czego? Szlachetności czy podłości? Uniwersalnego duchowego piękna czy wyrafinowanej, zбочzonej nikczemności?

Istnieje taki stan świadomości, stan umysłu, w którym rzucający się z szabelką na czołg człowiek wydawał się być symbolem bohatera, a nie samobójcy. Ograniczony sposób myślenia takiego

kamikadze wydawał się być imponujący. Dlatego śpiewałem głośno polski hymn czując, że musieliby mnie zabić, ale **JA... JA** pozostaję niezłomny. No cóż, śmierć samobójcom, a życie wieczne dawcom życia.

Wracają po kilku godzinach. Chcą nakarmić mnie solonym śledziem. Nic z tego. Potem nie dostanę nic do picia. Jeden z nich coś tam bąka, że mogą mi coś wstrzyknąć, że zamkną mnie w szpitalu psychiatrycznym, że użyją elektrowstrząsów, że zniszczą mi mózg, że stamtąd już nigdy nie wyjdę, że zniknę bez śladu i nikt już nigdy o mnie nie usłyszy. „Jeszcze Polska nie zginęła” – zagłuszam ich belkot. Zatrząskują drzwi z hukiem, pozostawiając mnie w stanie euforii (a raczej eufurii?!). Tak czuli się chyba *kamikadze*, niszcząc swoich wrogów, ginąc z pieśnią zwycięstwa na ustach. Tak czują się chyba palestyńscy samobójcy w ostatniej chwili przed śmiercią. Dziś jednak wiem, że to nie ten stan świadomości reprezentował Jezus, wymawiając słynne słowa: „Ojcze, przebac im, bo nie wiedzą, co czynią”. Umierać z pieśnią na ustach potrafi każdy fanatyk albo obiekt eksperymentów manipulowania emocjami człowieka za pomocą elektromagnetycznych mikrofal. Zrozumieć, wybaczyć, poświęcić swoje ludzkie, małe ego i **żyć** z pieśnią na ustach – to już całkiem inny stan świadomości. Wybór należy do nas: stać się mistrzem życia czy wielkim mistrzem życia? Bo mistrz potrafi dokonać wszystkiego, co tylko możliwe, zaś wielki mistrz czyni także rzeczy niemożliwe.

Wówczas, w więziennych celach, dopiero uczyłem się pojmować taki model myślenia. Od dziecięcych lat wpajano mi, że wielkimi bohaterami byli ludzie, którzy zabijali i sami ginęli za „słuszną” sprawę. Do czego jednak może doprowadzić taki sposób myślenia i postępowania, widzimy wyraźnie na przykładzie reakcji łańcucho-

wej akcji odwetowych w konflikcie izraelsko-palestyńskim. Jak długo pokutować w nas będzie pogańskie prawo „oko za oko, ząb za ząb”, tak długo będziemy trwać w świecie, w którym zacierziewieni, wścickli, zaślepieni nienawiścią fanatyczni zabójcy i samobójcy będą uznawani i czczeni jako bohaterscy męczennicy. Przyszłe pokolenia, żyjące już w odmiennym stanie świadomości i zdolne do subtelniejszej percepcji, pokiwiają tylko ze współczuciem głowami, studiując dzieje pradziadów. Nasi bohaterscy męczennicy jawić się im będą jako zagubieni obłąkańcy, żyjący w więzieniu swoich własnych poglądów, zapatrywań, jedynie słusznych wierzeń, za które warto rzekomo poświęcić życie ludzkie; za kratami stworzonymi z nieustępliwości i bezwzględnej nienawiści zdolnej do poświęceń, które nimi w rzeczywistości nie są. Kraty w świecie materialnym odzwierciedlają nam kraty, jakimi uprzednio otoczyliśmy się mentalnie, duchowo.

Prawdziwy bohater – tak widzę bohatera w moim obecnym stadium rozwoju – to istota nie dopuszczająca do powstawania negatywnych dla niej samej oraz bliźnich uczuć i myśli wiodących ją ostatecznie **ku śmierci**. Nie dlatego, że śmierć istnieje i trzeba trzymać się kurczowo fizycznego ciała jak najdłużej, lecz dlatego, że nasze uczucia i myśli powinny wieść nas **do życia** (wiecznego). Wiem, że to brzmi jak religijny bełkot albo kwestia z Szekspira, lecz decydując się na cierpienie i zadawanie cierpienia, decydując się na śmierć (zabójstwa czy samobójstwa), pozbawiamy samych siebie życia, i to jako ród ludzki i jako jednostka. Każda komórka w naturalny sposób powstaje i w naturalny sposób ginie. Człowiek, czyli garść komórek, stworzony został po to, żeby w tym właśnie okresie trwania i do chwili zakończenia swojej roli jako kosmiczna komórka lub zespół komórek ożywiać swoje otoczenie, a nie

niszczyć go wedle swojej woli – nawet jeśli jest to dopuszczone i tolerowane do pewnego określonego czasu i z pewnych określonych przyczyn. Jeśli komórka sama postanawia decydować o tym, jak i kiedy i czy w ogóle służyć organizmowi, wówczas staje się komórką rakową (tak ją nazywam dla podkreślenia roli, jaką teraz odgrywa), komórką śmiertcionośną. Ta samowola, którą się kieruje, czyni z niej komórkę zabójcę. Sprawcą takiego zachowywania się komórek jest człowiek magnetyzujący je swymi uczuciami i myślami. Bojący się śmierci fizycznej człowiek „uczy”, programuje tą energią swoje komórki, które też nie chcą umierać. Człowiek, czyli mikrokosmos, ich władca, nie wypowiedział jeszcze magicznej formuły: „Bądź wola Twoja” przed obliczem swojego władcy – makrokosmosu. Także mikrokosmos człowieka, jego komórka, nie chce poddać się naturalnemu, kosmicznemu biegowi rzeczy. Używając religijnego pojęcia grzechu można powiedzieć, że grzeszną, rakotwórczą komórką staje się zarówno ta, która zabija, a więc niesie śmierć (lub samowolnie niszczy się sama), jak i komórka wzbraniająca się w swoim czasie przeminąć, aby ustąpić miejsca nowym, zastępującym ją komórkom.

Tu, w tym państwie przemocy i psychoterroru, otoczony negatywną energią bezsilności, bólu, wściekłości i sadyzmu, nasiąkałem z godziny na godzinę tymi miazmatami przemieniającymi mnie w śmiertcionośny, zmutowany mikrokosmos. Zemsta jest rozkoszą upadłych, nie potrafiących wybaczyć bogów. Ja przeszedłem przez te stany świadomości... i poszedłem dalej.

W nocy budzą mnie i prowadzą do jakiejś celi. Każą mi się znów rozebrać. Siedzę i czekam. Godzinę, dwie, trzy. Wracają. Rzucają mi na podłogę moje ubranie, krawat, koszulę, obuwie. Przebieram się. Nie dam się zwariować. W ich stroju, czy w moim

własnym... To nie stanowi żadnej różnicy. Nadal przebywam na terenie jednego wielkiego obozu koncentracyjnego, zwanego DDR.

Minęły ponownie godziny, kilka dni. Do mojej celi wprowadzono więźnia. Nazywał się Hoyer. Był też ubrany w swoje c y w i l n e ciuchy. Był Szwabem ze Stuttgartu i musiałem się przyzwyczaić do jego akcentu. N a w o l n o ś c i pracował jako mechanik w zakładach Mercedesa. Dalej już nie było tak ciekawie. Pewnego dnia podczas odwiedzin u rodziny „po drugiej stronie muru” poznał dziewczynę. Ta (jak wszystkie inne) „robiła sceny” za każdym razem, gdy wracał „na Zachód”. Hoyerowi zrobiło się jej żal. Zbudzony rycerz postanowił porwać z zamczyska złego króla wybrankę swego serca (a raczej nieco niżej znajdującej się części jego ciała, sądząc z jego opowiadań) i potajemnie opuścić granice tej wspaniałej krainy. Dziewczę hoże w ostatniej chwili żegna się ze swoją najlepszą przyjaciółką... Na przejściu granicznym Hoyer musi wysiąść z samochodu i otworzyć bagażnik, z którego wyskakuje zapłakana dziewczyna powtarzająca w kółko: „Ja nie chciałam, to on mnie namówił”. Klasyka. Standard. Szablon. Jemu obiecano łagodny wymiar kary, o ile przyzna się „do wszystkiego i podpisze”. Jej obiecano to samo, jeśli podpisze to, co powtarza od chwili wyjścia z bagażnika. Niezależnie od tego, co zeznali i podpisali – oboje dostali po kilka lat odsiadki. Hoyera wykupił jednak rząd z Bonn, jego dziewczyna (teraz zwana *die schmutzige Hure*) po odsiedzeniu wyroku pozostanie w więzieniu o większych wymiarach, ulegając złudzeniu, iż wyszła na wolność. Jeśli należy do odważnych, ponownie znajdzie rycerza, który będzie starał się wywieźć ją z mrocznej krainy tyrana. Jeśli nie, to...

Pewnego dnia po południu odsuwają zasuwę. Otwierają szeroko drzwi i każą wyjść z celi. Podświadomie czuję, że już tu nie

wrócę, ale staram się nie podniecać tą myślą. Spokojnie. Najpierw muszę się znaleźć po drugiej stronie granicy. Poznałem już ich metody. Mogą pozwolić nam posiedzieć nawet kilka godzin w autobusie, a potem zawrócić nas do cel i zamknąć znów na kilka następnych dni, tygodni...

Po raz pierwszy od tak wielu miesięcy widzę prowadzonych w mojej obecności korytarzem innych ludzi... nawet kobiety! Wyprowadzają nas na zewnątrz budynku. Jest piękny słoneczny dzień. Zajmujemy miejsca w dwóch stojących na dziedzińcu eleganckich autokarach marki „Mercedes”. „Z pewnością ci złodzieje zarekwirowali je w ramach wyszukiwania uciekinierów” – mruczy w moją stronę jakiś blady, wychudzony Saksończyk. Kobiety mają krótko ostrzyżone włosy, a to nie ze względu na panującą modę, lecz jak twierdzą, w kocach lub w resztkach koców, którymi się przykrywały, były podrzucane przez klawiszy wszy.

W autobusie panuje podniecenie graniczące z histerią. Są tu ludzie młodzi i starzy. Wszyscy bez wyjątku odsiedzieli po kilka lat w więzieniach za to tylko, że chcieli zbudować swoje życie inaczej. Inaczej niż narzucał im to tyrański rząd, albo też za to, że pomagali w ucieczce z tego socjalistycznego raju innym. W ucieczce z jednego wymiaru materii w inny. Podczas gdy oni zostaną teraz przetrzuceni na Zachód, ich rodziny pozostaną w więziennym państwie pod rządami oddanego Moskwie Ericha Honeckera, symbolu panującego w tej części Niemiec zła. Niektórzy płaczą głośno, jak dzieci, inni płaczą cicho. Niektórzy nie posiadają się ze szczęścia, tak jak człowiek, który zdał sobie nagłe sprawę z tego, że wygrał główną wygraną na loterii. Inni spluwają za siebie i mamrocą przysięgi, snując plany zemsty „za to wszystko, co ta banda wyrządziła ludzkości”. Jeden drugiego pyta, skąd

pochodzi i ile przesiedział. Do autokaru wchodzi kilka kobiet. Jedna z nich zajmuje wolne miejsce koło mnie. Ma nieco ponad dwadzieścia lat. Odsiedziała cztery lata. Jej starsza siostra miała chłopaka w wojsku. Miał dostęp do komputera i magazynu odzieżowego. Pewnej nocy zabrał wojskową ciężarówkę oraz dziesięć mundurów wojskowych. Wraz z przyjaciółmi postanowili zaryzykować. Uciec na Zachód. Mieli plan, ale zanim zdążyli zrealizować jego pierwszą część, zanim wszyscy zdążyli przebrać się w mundury, zostali otoczeni i odstawieni do zakładów karnych. Brat organizatora ucieczki do „wolnego świata” postanowił przypodobać się „swemu panu” i zakapował do STASI o planach ucieczki brata oraz przyjaciół.

Moja nowa znajoma jest wspaniale doinformowana na temat tego, co jej się prawnie należy po przekroczeniu granicy. Wie, do jakiego urzędu się udać i co gdzie załatwić. Za pierwsze pieniądze, jakie otrzyma, „zrobi koło siebie”, a potem chce pracować jako prostytutka w jakiejś eleganckiej agencji. Tylko przez kilka lat. Musi sobie odbić te stracone lata. Jak już odłoży małą sumkę, to uda się do banku, weźmie pożyczkę i otworzy butik albo mały zakład kosmetyczny i fryzjerski, albo jedno i drugie... Wszystko to mówi z taką determinacją w głosie, iż jestem pewien, że się jej powiedzie, że się jej uda. Chcę, żeby się jej powiodło. Moje serce przepełnione jest życzliwością dla tych wszystkich ludzi. Nagle dziewczyna w porywie szczęścia obejmuje mnie i całuje.

– *Ach, du bist so schön!* – wykrzykuje w ekstazie.

Czuję jej dłoń na moim rozporoku i choć tęsknię do mojej Reginki, to jednak gdy widzę, że jestem pożądany, jest mi przyjemnie. Bardzo przyjemnie. Tym bardziej że ważę niewiele ponad 50 kilogramów. Dziewczyna jest podekscytowana, atmosfera w autobusie staje się nie do wytrzymania. Ruszamy. Niektórzy

wyją. To ci, którzy już nigdy nie ujrzą swoich dzieci. Rwą się więzy astralne. Jakaś kobieta prawie oszalała. Muszą trzymać ją za ręce, bo drapie się po twarzy z rozpacz. Przed naszym autokarem jedzie mercedes (też z tych zarekwirowanych przez STASI), a w nim doktor Wolfgang Vogel, adwokat nas wszystkich i wybawiciel. Za naszym autokarem następny, także pełny, a za nim nowiutkie bmw. W nim agenci STASI. Po jakimś czasie cała ta karawana zatrzymuje się na wielkim parkingu. Stoją tu dwa takie same autokary, jakimi przyjechaliśmy, z tą tylko różnicą, że na zachodnioniemieckich numerach rejestracyjnych. Kazali nam przejść do tych autobusów, a gdy już wsiedliśmy do naszego, wszedł wytworny jak zawsze doktor Wolfgang Vogel, aby oznajmić, że praktycznie jesteśmy znów wolnymi ludźmi oraz poprosić, abyśmy nie udzielali wywiadów gazetom zachodnioniemieckim, a już w ogóle nie przekazywali prasie nazwisk innych więźniów, gdyż będzie to przeszkadzało w ich uwolnieniu.

– To są dopiero świnie! – denerwuje się moja nowa znajoma.
– Nie dość, że więzili człowieka za nic, to jeszcze na koniec zabraniają mu się poskarżyć!

Verfluchte STASI Schweine! Myślę sobie, że przecież doktor Vogel ma na względzie dobro swoich klientów, którzy też chcą wydostać się z więzienia... Po latach okazało się, że owa dziewczyna miała rację. Nasz zbawca był nawet jednym z głównych mózgów STASI, wschodnioniemieckiej służby bezpieczeństwa.

Po kilku minutach przejeżdżamy przez punkt graniczny. Nikt nie zatrzymuje naszego autokaru. Żadnej kontroli. Paszport oddał mi uprzednio jeden ze „smutnych”. Kierowca włączył mikrofon:

– *Herzlich willkommen in freies Deutschland!*

Ludzie padają sobie w ramiona. Znów mieszają się okrzyki bólu i rozpacz z ekstatycznymi okrzykami radości:

– *O, mein Gott! O mein Gott! Endlich! Endlich!*

Z radia płynie m u z y k a!... „*Una paloma blanca...*”.

Zostaliśmy zawiezieni do Giessen. Tu w obozie przejściowym każdy z nas otrzymał po kilka kanapek, dwie puszkę piwa, jakąś drobną sumkę pieniędzy i paczkę papierosów. Będziemy tu nocować. Rano, po śniadaniu zostaniemy przesłuchani przez agentów różnych wywiadów, a potem każdy będzie mógł robić co zechce. Tłumaczę jakiemuś urzędnikowi, że mieszkam niedaleko, bo we Frankfurcie nad Menem, że chcę pojechać pociągiem do domu i rano wrócić, ale okazuje się, że to niemożliwe. Po prostu taka jest procedura. Tłumaczę mu, że w domu czeka na mnie żona. „Tutaj też c h ę t n y c h kobiet nie brakuje” – puszcza do mnie oko. I faktycznie. Nie mogę temu zaprzeczyć.

– *Mir und dir – BINDING BIER* – śmieje się do mnie jakiś *osti* trzymając w dłoni puszkę piwa. – *Prosit!*

Po wypiciu kilku łyków czuję się wręcz pijany. Piwo, kielbaski, kanapki – wszystko to wydaje się nam wyśmienite. Razem z Hoyerem idziemy do przeznaczonego dla nas pokoju. Trzyma go pod ramię jakaś wychudzona niewiasta. Wokoło mnie podskakuje Helga.

– *Ach! Wie schön! Wie schön!* – powtarza w kółko.

Wchodzimy do pokoju. Wciąż nie możemy się nagadać. Każdy z nas ma coś do opowiedzenia. Pijemy piwo. Helga siedzi na moich kolanach. Wierci się. Bierze moją dłoń i kładzie ją sobie na piersi. To ciekawe, że pewne geometryczne kształty mogą wprowadzić człowieka w całkiem miły stan świadomości.

– *To beer or not to beer* – zwracam się w stronę Hoyera grzejącego sobie dłonie pod sweterkiem nowej znajomej.

Ktoś stuka do drzwi. Wchodzi dwóch mężczyzn w czarnych skórzanych kurtkach. Grzecznie przepraszają za najście. Szukają pana Romana Nachta. Zanim zdążę pojąć tę nową sytuację, Hoyer bezmyślnie wskazuje palcem na mnie. Jeden z przybywszy miga mi przed nosem jakimś świstkiem, przedstawia się, że są z KRIPO i że „niestety, ale będę zmuszony udać się z nimi w celu wyjaśnienia pewnej sprawy”. Mieli nakaz aresztowania. Rozumieli, że sytuacja jest „głupia”, ale „jutro rano wszystko się wyjaśni”. Nie skują mnie, o ile obiecuję „nie robić żadnych głupstw”. Idę.

– Roman, Roman – Helga ma łzy w oczach.

Po drodze dowiaduję się, o co chodzi. Otóż przed rokiem mój szwagier kupił okazjnie mercedesa od – jak się potem okazało – złodzieja. Wprawdzie wszystkie „papiery były w porządku”, ale samochód był kradziony. Złodziej został zatrzymany z jakiegoś innego powodu, ale podczas przesłuchania wyspowiadał się z wielu grzechów, wspominając i o tym, komu i gdzie sprzedał skradzionego w Hamburgu mercedesa. Zaprowadził też prowadzących śledztwo policjantów pod drzwi mojego mieszkania. To w tym mieszkaniu doszło do aktu kupna-sprzedazy. W tym mieszkaniu byłem zameldowany. Jakiś sędzia wydał nakaz aresztowania. Gdy tylko przekroczyłem granicę dzielącą Niemcy na dwa państwa, wyłowiono mnie za pomocą komputera i choć panowie w skórzanych kurtkach zdawali sobie sprawę z paradoksu, iż nie mogłem parać się paserstwem we Frankfurcie nad Menem siedząc jednocześnie zamknięty w celi wschodniobierlińskiego więzienia, to jednak zmuszeni byli doprowadzić mnie do sędziego, który miał umorzyć całą tę sprawę. Kupiono mi po drodze sześć puszek piwa, dwie kanapki, ciastko i znów trafiłem do aresztu. Poli-

cjanci byli mili i wyrozumiali. Zostawili mi drzwi celi uchylone, jako że „już dość się nasiedziałem u tych przeklętych komunistów”.

Rano w sądzie okazało się, że pan sędzia nie jest kompetentny na tyle, aby mnie natychmiast zwolnić z aresztu. Akt zwolnienia podpisać może tylko ten sędzia, który podpisał nakaz aresztowania, a ten jest właśnie na urlopie, tak że będę musiał na niego poczekać w areszcie w Preungesheimie pod Frankfurtem, ale „oczywiście nie w takich warunkach jak na *W s c h o d z i e*” – pocieszano mnie.

Oczywiście mój szwagier przy zakupie sprawdzał wszystkie dokumenty. Te jednak były „oryginalne” i dlatego Janusz nie żywił już żadnych podejrzeń. Ale nie te rzekome przypadkowe przyczyny są w tym wszystkim istotne. W życiu najistotniejszym celem oraz sensem istnienia jest nauka. Człowiek zamiast narzekać znalazłszy się w jakiejś nader niewygodnej dlań sytuacji, powinien natychmiast zadać sobie pytanie: „Czego mam się obecnie nauczyć?” i skoncentrować się na „materiale”, jakiego mu życie dostarcza w najprzeróżniejszych postaciach. Najlepiej jest przyjmować tę naukę z wdzięcznością i zamiast buntować się i bronić przed rzekomo złym losem, bacznie obserwować swoje własne reakcje na fragmenty sytuacji, w jakiej to znaleźliśmy się niby przypadkowo, bowiem w rzeczywistości po prostu *p r z y p a d ł o* nam **tutaj i teraz doświadczyć pewnych specyficznych uczuć i wrażeń, które wnoszą coś do naszego rozwoju duchowego, wzbogacają nas, umacniają, a zarazem przemieniają. Oto sens i cel ŻYCIA tak, jak ja go dzisiaj, tutaj i teraz pojmuję.** Ale w owym czasie jeszcze o tym nie wiedziałem, jeszcze sobie o tym wszystkim nie przypominałem, spałem jeszcze śniąc, nieświadom,